

**Projekt Dmitrija Głuchowskiego „UNIWERSUM METRO 2033”.**  
**Powieść Szymuna Wroczyka „Piter”**  
**z rosyjskiego przełożył: Paweł Podmiotko.**

**fragment pierwszy**

Iwan odczekał chwilę i zanurzył się w wodzie po pas. Z początku nawet nie zauważył, że to woda – tak była ciepła i nie do odróżnienia od dusznego, rozgrzanego powietrza Tunelu Primorskiego. Podniósł automat nad głowę i zaczął powoli brnąć naprzód. W wąskiej strudze światła latarki ukazywał się a to kawałek tubingu, a to resztki sparcianych kabli. Gładź wody zdawała się nieskończona i przerażająca. W tej zielonkawej, mętnej cieczy coś się kryło. Jakieś swoiste życie. Iwan szedł, wodorosty (czy na pewno wodorosty?) owijały mu się wokół pasa. Woda przesiąkała już przez ochronne spodnie, chłód dotarł do skóry. Kroczył trzymając automat nad głową – w odblasku latarki migał rozmyty cień kałacha.

Brzdęk! Iwan zamarł.

To było gdzieś przed nim.

Przyłożył automat do ramienia, podniósł rękę i wyłączył czołówkę: pstryk. Światło zgasło. Otoczyła go bezwzględna, głęboka ciemność. Dźwięki. W tej ciemności coś chlupotało, węszyło, rzucało się, mlaskało, przeżuwało, rozrywało jakieś stworzenie na strzępy krzywymi, ostrymi zębami i szło dalej.

Iwan czekał, walcząc z pragnieniem, by włączyć latarkę i puścić serię z automatu.

Zupełnie nie w porę przypomniały mu się opowieści o krokodylach w kanalizacji i ucieczce zwierząt z ogrodu zoologicznego na Gorkowskiej. Spokojnie. Tylko spotkania z tygrysem nam tu brakowało.

Wyczekał kilka minut i włączył latarkę. To było jak powrót do domu. Człowiek może się obejść bez wielu rzeczy: bez jedzenia, bez wody, ale bez światła po prostu kładzie się i czeka na śmierć, jakby ciemności wysysały z niego ostatnie siły. Iwan poruszył głowę. Zielonkawa woda przyjemnie kołysała się w wąskiej strudze światła.

Za jakieś dwieście metrów będzie wyjście na peron. Miał nadzieję, że schody ocalały.

Zwierzęta. Najśmieszniejsze, że Gorkowską, gdzie było zoo, otworzyli akurat tuż przed tym, jak to wszystko się zaczęło. Mówiło się, że przestraszeni opiekunowie pobiegli na dół, do metra, żeby się ratować, a zwierzęta porzucili. I mówią, że na górze są tam teraz takie rzeczy... Iwan pokręcił głową, światło latarki obróciło się wraz z nim.

„Gdzie ja to coś widziałem?”

Dobra, zorientujemy się na miejscu.”

Stacje w petersburskim metrze zwykle budowano na tak zwanych „górkach”, na wzniesieniu tunelu. Dlatego w najgłębszym miejscu wody było po pas, a bliżej Primorskiej – tylko po kostki. Iwan zwolnił kroku. Dioda mrugnęła ociężale, światło zrobiło się już zupełnie blade, trzeba było wytężyć oczy.

No i masz. Baterie siadły.

Znalazł nieco bardziej suche miejsce, wyciągnął zapalniczkę i zaczął grzać baterię nad płomieniem. Rozgrzewał ją do chwili, kiedy nie dało się jej utrzymać nawet w rękawiczkach; wtedy włożył ją do latarki i wziął następną. Jeśli zrobić wszystko jak należy, baterie pociągną jeszcze ze dwadzieścia minut – zanim ostygną.

Fizykę trzeba, kurna, znać.

A potem trzeba będzie przejść na karbid. Iwan na skład karbidu z czasów budowniczych metra natknął się przypadkiem. Pewnie z pięćset kilogramów – w czterech metalowych beczkach. Taki karbid to świetna rzecz, tylko nosić ciężko. Ale światło daje najlepsze. Lampa karbidowa nie oślepia, a oświetla wszystko wokół – równym, ciepłym światłem.

Nawet dioda (Iwan syknął z bólu, kiedy metalowy korpus baterii się nagrzał), jego ukochana dioda, która nie raz ratowała go z największej opresji, jest niczym w porównaniu ze zwykłą karbidówką, jeśli chodzi o jakość światła. Schował zapalniczkę, wetknął rozpaloną baterijkę do latarki i zatrzaskał pokrywkę. I dopiero wtedy zaczął machać ręką – kurna. Noż kurna! Jednak poparzył sobie palce.

Białe światło, nieco bardziej przyćmione niż zwykle, wytrysnęło z latarki. Iwan zmrużył oczy. Podmuchał dłoń, zacisnął palce, rozluźnił. Przed oczyma migotały mu ciemne plamy. Boli – trudno. Trzeba ruszać, póki jest jeszcze światło.

Założył hełm, ściągnął pasek – nie od razu, palce go nie słuchały. Szybciej, szybciej. Huczało mu w skroniach.

Maksymalnie dwadzieścia minut. Potem jeszcze raz podgrzać. I wtedy jakieś piętnaście minut, jeśli dobrze pójdzie.

Trzeba zdążyć.

Zarzucił automat na ramię i pobiegł chlupiąc wysokimi butami. Zna drogę do listwy wyznaczającej koniec peronu – potem trzeba będzie ostrożniej.

Tunele walą się od ciągłej wilgoci, można zwyczajnie oberwać w ciemność kawałkiem tynku. Dobrze, że maszyny wypompowujące wodę z tuneli wciąż działają. Tak mówił wujek Jewpat, a jemu Iwan wierzył. Huczenie, które było słychać w niektórych przejściach... „Słyszysz” – mówił wujek Jewpat i wieloznacznie podnosił gruzłowaty palec.

Jest i listwa.

Ppodniósł głowę i oświetlił czarno-biały pas metalu, zardzewiały od upływu czasu. Kapą z niego woda. Kap. Kap.

Kiedys to właśnie za tę listwę trzeba było biec, jeśli spadło się z peronu na szyny. Pociąg nie jedzie dalej niż do listwy, to punkt orientacyjny, za nim jest bezpiecznie. Powinny tu być schody. Zmrużył oczy. Aha, są.

Gdzieś tutaj poprzednim razem widział tę rzecz.